

# „Korzeń” ciechocińskiego rapu

Takich słów nie usłyszymy w żadnej ciechocińskiej kawiarni na fajfach, czy na dancingu. Jest to muzyka znacznie młodszego pokolenia: ciechocińskich gimnazjalistów, licealistów i studentów. Obok muzyki metalowej, teksty hip hopowe Kamila „Korzienia” Korzeniewskiego i zespołów TWR oraz PZN na stałe zapisały się w historii ciechocińskiej muzyki młodzieżowej.

Korzeń miłością do hip hopu zaraził się od kolegów w Liceum Ogólnokształcącym im. Staszica. Zaczęło się od słuchania Kalibru 44, składanek 600V i Warszawskiego Deszczu. Wtedy pojawiły się pomysły na pierwsze teksty i latem 2001 roku powstała grupa TWR w składzie: Korzeń, Snak oraz Kita (Jędrzej Wyrąbkiewicz). Sam Kamil niezbyt pozytywnie ocenia jakość pierwszej płyty, która ukazała się w wersji demo. - Kilka piosenek traktowało jednak o Ciechocinku, o życiu i problemach ciechocińskiej młodzieży. Ale to był dopiero początek, a od czegoś przecież trzeba zacząć - wspomina Korzeń.

Po rozpadzie TWR w 2002 roku zaczął współpracować z Krzysztofem „Lipkiem” Lipińskim, rojującym producentem muzycznym. Poza tym jeszcze w liceum dołączył Rafał „Mały” Humaniuk oraz Arek „Rusalek” Rusiecki i powstał kolejny skład, pod nazwą PZN (Przeszłość Za Nami). Ich jedyna płyta ukazała się w 2003 roku. Dla Kamila był to najlepszy prezent urodzinowy, 11 lipca dostał pierwszy gotowy egzemplarz wraz z okładką. PZN ma na swoim koncie wiele koncertów, między innymi w Ciechocinku, Aleksandrowie Kujawskim, Radziejowie, Płońsku i w Toruniu. Razem tworzą do dziś, od sześciu lat zbierają materiał na kolejną płytę. Od tamtej pory ukazała się jedna piosenka „Marzenia”,

która pojawiła się na składance Hip Hop Road 2005.

Sam Korzeń od 2007 roku zaangażowany jest w skład Garść Dolarów, który tworzy wraz ze Svenem oraz Emagie z Torunia. Z nimi również pracuje nad płytą. Ponieważ Kamil jest studentem V roku historii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, większość jego koncertów odbywa się dziś w toruńskich klubach: NRD oraz Art Cafe. Wraz z zespołem organizuje tam występy znanych raperów, takich jak: Lilu, Rahim, Zeus, Fokus czy Jarecki. Przed kilkoma z nich grywał supporty.

Ważną częścią działalności artystycznej Korzenia jest także organizacja koncertów charytatywnych, które odbywają się w wyżej wymienionych toruńskich klubach. Akcja nosi nazwę „Hip Hop Pomaga”. Do tej pory odbyły się dwa koncerty: 16 kwietnia tego roku w NRD grali dla Artura Witka chorego na stwardnienie rozsiane, a 1 października w Art Cafe dla Adama Wierczorka chorego na stwardnienie zanikowe boczne.

Jak już wspomniałam, Kamil studiuje historię - nauczycielską i wojskową. Jest to jego największa pasja zaraz po muzyce. Jednocześnie pracuje jako barman w jednym z toruńskich barów. Poza tym kocha sport i imprezy. Gra w koszykówkę oraz uprawia szlachetną sztukę walki - aikido.

W tym roku akademickim Kamila czeka obrona pracy magisterskiej, więc życzymy mu połamania pióra oraz powodzenia w pracy nad kolejnymi płytami. I chociaż Korzeń już nie mieszka w Ciechocinku, miejmy nadzieję, że nie zapomni o rodzinnym mieście i wątek Ciechocinka powróci w jego piosenkach.

Karolina Sienkiewicz

## WSPOMNIENIE

# Oklaski

**We wrześniu minęło 70 lat od wybuchu II wojny światowej. Poniżej zamieszczamy wspomnienia tamtych dni, gdy mieszkańcom uzdrowiska żyło się coraz ciężiej, a sanatoria zamieniały się w szpitale wojskowe...**

Wojna zagląda do nas przez małe kuchenne okno wtedy, gdy ktoś idzie do wsi miedzą od pociągu. Wojna na razie istnieje tylko w opowieściach. Kobiety labiedzą, popłakują po kątach, a chłopcy siedzą jak zamurowani. Opowieści o niej przynoszą miejscowi wracający z

Aleksandrowa, a przede wszystkim z Ciechocinka. Tam sanatoria i niektóre pensjonaty miały zaszczyt zostać lazaretem, a szpital zawsze kojarzy się z nieszczęściem.

Weronika, jak prawie wszystkie kobiety we wsi ro-

biła co trzeba, popłakiwała i modliła się na zmianę. Aleksander w okienkach, kiedy mniej się bał, podejmował strategiczne decyzje.

-Trzeba zabić wieprzka!

Poza koniem, kurami i kaczkami, gołębi nie licząc, wieprz stał się zakładnikiem wojny. Jest wojna trzeba go zabić, bo inaczej zrobią to albo nasi, albo Niemcy. Wyrok zapadł. Aleksander sprowadził Antka. Przygotowali co trzeba, czyli wielki koprowy kocioł gorącej wody i kopankę, w której skazańca się oprawi. Cały dzień na tym zszedł. Jak nigdy, nikt się nie cieszył, choć takie święto bywało dwa, co najwyżej trzy razy w roku. Wieczorem zapeklowany w ceberku świniak czekał na swój czas. Późnopołudniowa krzątanka po domu i obejściu kończy się i zaczynają się opowieści o wojnie za miedzą.

-Józef powinien niedługo z roboty przyjechać. Zaczyna Weronika, bo Józef to jej syn i kolejarz. A kolejarz na wsi to prawie światowy człowiek. Do Łodzi, Warszawy czy Kuluszek to on parę razy w tygodniu jeździ.

- Ciechociniak jeszcze nie gwizdał.

Przytomnie dodaje Władziu, piąty w rodzinie. Bo trzeba wiedzieć, że pociąg osobowy z Aleksandra do Ciechocinka przed Odolionem gwizdże, co dobrze słyhać we wsi, a to znak, że w Aleksandrowie już był, a jak był, to znaczy, że kto wysiadł z niego w Aleksandrowie, to za pół godziny powinien być na Zgodzie.

Bez pukania wchodzi swój. Swój to znaczy Mońcia, rówieśnica Zochy, też panna. Mońcia, bo jak mówić Monika? I od progu informuje:

- W Ciechocinku ktoś od Sobierajów widział twojego....

Mojego?! Mowa o Józiu, narzeczonym Zochy. Wszyscy milkną, czekają, czy Mońcia doda coś jeszcze, myśli kłębią się w głowach, Zosia nieco blednie... Mońcia dodaje po chwili:

- W szpitalu, ale w którym? Nie wiem.

A jeszcze:

- Czy ranny ?

- Czy to on na pewno?

- A gdzie?

Mokre oczy, pytania, pytania bez odpowiedzi. Zosia już wie, już decyzję podjęła.

- Jutro idę do Ciechocinka!

Mówi głośno i pewnym głosem.

Pociąg zagwizdał, Józef przyszedł z roboty, a jutro pójdą razem do Ciechocinka. Bo choć Zosia zna Ciechocinek, bo tam od trzech lat w sezonie pracuje w ośrodku kolonijnym dla dzieci wojskowych, to jednak jest wojna i strach samej.

Niedospana noc i ranny marsz znaną jak kieszeń w spódnicy drogą. Najpierw piaszczysta droga przez wieś. Potem lekko z górki i już zakręt, samotna wierzba a na wprost w słońcu wysoki, lesisty Kuczek. Skrótem przemykamy przez podwórko Milera i po kamieniach przeskakujemy prawie suchy o tej porze roku strumyk i już wspinamy się krętą ścieżką po lesistym zboczu. Z prawej, strome zbocze, z lewej ostro schodzący w dół skraj lasu i bajkowy, tajemniczy staw przysypany złotymi liśćmi. Już słyhać szosę. A szosa jak wiosenna wezbrana rzeka: furmanki, furmanki, samochody, wojsko i ludzie. Wszystko na

Warszawę. Tak mówią. Przeciskamy się przez tę rzekę i już spokojnie jesionowym traktem na wale

przeciwpowodziowym do Starego Ciechocinka.

- Gdzie on może być?

-Trzeba popytać i poszukać. Najpierw do „Warszawianki”.

Na ulicach cicho i niewielu ludzi. Trochę wojskowych. Już przed Warszawianką widać, że to szpital. Furmanki z rannymi. Ranni na noszach i na płachtach przed budynkiem. Szukamy, chodzimy, zaglądamy, wołamy. Bez skutku. Jeszcze do „Felicjanki”, do „Ormuzu” i do Łazienek. Wszędzie tak samo, dużo nieszczęścia, lamenty, postękiwania...nikt go nie widział, ani o nim nie słyhał.

- Chyba już pójdziemy na Zgodę.

Józef jest już zdecydowany, ale Zosia jeszcze zatrzymuje się na rogu ulicy i rozgląda, jakby wiedzioną przeczuciem. Patrzy na pusty skwerek i czerwieniejącą za zielonym parawanem krzaków kościół. Może jeszcze zajść do sklepiku Gagusiowej i spytać? Patrzy w kierunku sklepiku za plecami ma „Warszawiankę” i „Jedynaczkę”. Coś natrętnie odwraca moją uwagę od patrzenia. Już nie patrzę tylko słucham. To oklaski, brawa! Ktoś klaszcze! Zwariował?! Z czego się cieszyć, gdy tyle nieszczęścia wszędzie wokół? Klaszcze nadal mocno i natrętnie. Zwidy. Nie! Nie zwidy! Głowa do góry, a oczy podążają za brawami. W poddaszowym oknie „Jedynaczki” widzę głowę i ręce, które klaszczą! To nie takie zwykłe oklaski. Jakie otrzymują artyści po występie. To oklaski, w których ręce są tylko narzędziem, a naprawdę ich źródłem jest rozum i serce. Rozum nadawał im moc i zasięg, a serce niesło impuls, który tylko ona usłyszała.

- Matko Boska, to Józiu!

Już tylko macha rękami i znika. Jest już przy niej. Józef, czyli jej brat już jest niepotrzebny.

No to ja już pójde do domu.

Idź!

Niezgrabnie tulą się do siebie. Bez słowa. Bo on nie mówi, właściwie stęka, cicho wyszeptuje z trudem kilka słów. Jego ręce mówią lepiej niż usta. Już wiem, po pierwszej wojennej strzelaninie rankiem nad stawem przy cukrowni w Mełnie, wpadł spragniony do jakiejś opuszczonej chałupy i złapał butelkę jak sądził z piwem. Ale to nie było piwo...Teraz już jest lepiej. Już może szeptać.

Świat zgubił ich, ale tylko na chwilę.

- Zosia, idę z tobą do domu!

Chrypi.

Jak? Wojsko cię puści?

Sam pójde!

Ukazał się świat jak niebo, ale tylko na chwilę.

Dokąd kolego?

Dwaj żołnierze, służbowo, z bronią, czapki z kanarkowym otokiem, czyli żandarmeria wojskowa! Koniec marzeń! Szeptem i potulnie z trudem Józef informuje:

Narzeczoną odprowadzam, panie plutonowy. Strzelec, pokażcie papiery.

- Są w „Jedynaczkę”!

To był koniec marzeń! Patrzyli na siebie i bez słowa wypowiadali to, co mieliby opowiadać sobie przez lata, przez wieczność.

- No, to prowadź do „Jedynaczki”!

Słowa kanarka, to koniec marzeń. Przez mgłę łez Zosia widzi w perspektywie złocistej ulicy zacierające się sylwetki trzech żołnierzy...Jedynym pocieszeniem dla niej jest to, że żyje...

Jerzy Wróblewski